

I. TUREWICZOWA

DZIŚ i JUTRO

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VI. KRAKÓW, 15. KWIETNIA 1930. NR. 8.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY.

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VI. KRAKÓW - 15. KWIETNIA 1930. № 8.



W PALMOWĄ NIEDZIELĘ

A kiedy przyjdziem na Palmową
do Twoich świątyń przed ołtarze
i ponad każdą ludzką głową
liść srebrnych bazi się ukaże,
i słodkim psalmem się rozchwalą
serca wraz z szumem polskich palm, —
Ty nam błogosław swoją dłonią
tak, jako niegdyś w Jeruzalem!

E. K.

ZMARTWYCHWSTANIE!...

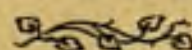
Rozdzwonił się skowroneczek
niby srebrny ten dzwoneczek,
co w wieżyczcze gdzieś się buja:
— Alleluja! Alleluja!!!

Usłyszały w pączkach liście,
że coś dzwoni wokrąg srebrzyście
więc ciekawe w chwili zorzy
wyglądały na świat boży:

a tu wszędy — Zmartwychwstanie!
i w gaiku i na łanie;
a i w sercach wszystkich ludzi
coś drga pieśnią, coś się budzi!...

Słysząc, że świat wokoło śpiewa,
przystroiły w zieleń drzewa
i tej wiośnie — wraz złączone —
zanuciły antyfonę!...

E. Kłoniecki.



TWÓRCY POEZJI POLSKIEJ
JANOWI KOCHANOWSKIEMU W 400 ROCZNICĘ URODZIN.
1530 — 1930.

W sandomierskiej ziemi, pokrytej złotym kłosem bujnej pszenicy, w starym, skromnym dworku w Czarnolesiu, wśród grona kochającej rodziny, żył pierwszy nasz wielki poeta — mistrz słowa i rymu, Jan Kochanowski.

Szczęśliwym czuł się w zaciszu domowem, gdy długie godziny spędzał pod rosochatą lipą, która bogatą swą z liści koroną ocieniała domostwo. Ona to, „na głos twórcy czuła“, niejeden rym mu natchnęła — ona użyczała nieraz cienia miłego wśród skwaru lata dostojnym gościom, co nawet z dworu królewskiego pod dach znamienitego poety się garnęli.

Sam zaś Kochanowski stronił od rozgwaru życia politycznego, nie ubiegał się o urzędy, nie starał się o bogactwo, choć przyznawał, że „kto ma pieniądze, ten ma wszystko w ręku“ — ale „sobie śpiewał a muzom“.

Nie zrażał się tem, że niewielu znajdował słuchaczy, którzyby „serce ucieszyć chcieli“ jego pieśniami, bo kochał poezję dla niej samej, służył jej — bo ją cenił, „za cześć sobie poczytał, że się dróg inszych, niż pospólstwo chwytał“.

Poezja wznosiła go na wyżyny duchowe — wynosiła go pod obłoki, odrywała od ziemi i lichych zabiegów, od trosk codziennego życia i szarego, do nizin przykutego tłumu. — Dzięki niej — jak sam poeta przyznawał - nowe się przed nim otwierały horyzonty, w jaśniejszem świetle widział i oceniał wypadki życia i rozumiał, jaka jest prawdziwa wartość rzeczy.

Lutnia była mu towarzyszką nieodstępną, jej zwierzał się ze swych tajemnic, nią cieszył serce zbolałe — ona rozumiała każdą myśl twórcy i wiernie słowem oddawała uczucia poety.

Poezja polska po raz pierwszy pod piórem Kochanowskiego przybrała się w czarowne słowo, pełne treści indywidualnej, swojskiej, rodzimej.

Bo choć Jan z Czarnolasu przyswoił sobie wiedzę wszechstronną humanistyczną, choć poznał literaturę starożytną i często mu ona za wzór służyła, — nie stał się jej niewolnikiem, uczucie własne — treść duszy i życia swego zamknął w rytmy swej pieśni.

W niej sław ł Boga i Pana swego, wypowiadając Mu wdzięczność za „hojne dary, za dobrodziejstwa, którym nie masz miary“. Jemu dziękował za widoczną pomoc, której doznawał w codziennem życiu -- Jego prosił o opiekę i błogosławieństwo:

„Chowaj nas, póki raczysz na tej niskiej
[ziemi,
Jeno zawżdy niech będziem pod skrzy-
[dłami Twemi“.

Pieśń stała się dla poety również wyrazem uczuć patrjotycznych — zarówno smutnych jak i radosnych. — W niej zachęcał swe społeczeństwo do służby idealnej dla dobra ogółu:

„Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego po-
[może“.

Chciał poeta, by każdy w miarę sił swoich służył ojczyźnie mieniem i życiem, nie zrażając się trudnościami, ani też nie oglądając się na ludzkie nagrody, bo

Cnota tak jest bogata, nie może wziąć
[szkody,
Ani się też ogląda na ludzkie nagrody,
Sama ona nagrodą i płacą jest sobie
I krom nabytych przypraw, świetna w swej
[ozdobie“.

Szczęśliwym i wzbogaconym mienił poeta każdego, kto zna wysokie cele pracy i ofiary i rozumiał, że „jeśli komu droga otwarta do nieba, to tym, co służą Ojczyźnie“.

W pieśni wypowiadał też poeta swe osobiste uczucia, swą miłość do Hanny,

której piękność i cnotę wychwalał — wzywając ją do Czarnolasu, gdzie cała przyroda, dwór i „lipa wpośród dworu“ wygląda jej z niepokojem.

Tak więc poezja towarzyszyła twórcy na wszystkich drogach życia, przynosząc mu wiele szczęścia, zadowolenia i duchowej pociechy.

W jednym tylko wypadku moc jej okazała się nad sercem poety niedostateczna — w chwili prawdziwego cierpienia — kiedy zbolały ojciec pochylał się nad trumienką zmarłej dzieciny.

Pod wpływem gromu, jaki uderzył w zacisze domowe poety, zabierając mu ukochaną Urszulkę, wszystkie struny zerwały się w sercu poety.

Straciwszy pokój wewnętrzny, napróżno zwracał się do lutni, obiecując sobie w niej znaleźć zapomnienie i pociechę. Wyśpiewała ona wprawdzie słowa rozpaczy zbolałego ojca, dając w „Trenach“ arcydzieło liryki polskiej, — dźwiękiem, pełnym jęków i zawodzenia, zawtórzyła sercu rozdartemu, ale pokoju duszy nie przywróciła.

„Rym i lutnię rzucić muszę,
ledwie nie duszę“,

skarży się zawiedziony po raz pierwszy poeta.

Zrozumiał wówczas, że jeden jest tylko Pan, co równie potężnie światem rządzi, jak i sercem człowieka — Pan, który zarówno jest sprawcą radości jak i cierpienia — pocieszyć go może sam jeden i otrzeć łzę, spływającą z oka.

Nikt przed Kochanowskim w poezji polskiej tak głębokich jak on nie poruszył myśli — nikt przed nim, a mało kto po nim, aż do czasów Mickiewicza, wypowiedział tyle uczuć serdecznych, jakie budzić się mogą w sercu człowieka.

On sam istotnie, jak to sobie z całą szczerością, ale i prawdą przyznał:

„Wdarł się na skałę pięknej Kaljopy,
Gdzie dotychczas nie było śladu ludzkiej
[stopy“.

Dał literaturze naszej piękną i bogatą lirykę, stworzył pierwszy klasyczny dramat: „Odprawę posłów“, wstępując z właściwem sobie poczuciem piękna w ślady utorowane przez dramaturgów greckich.

Spodziewał się też poeta, że Muzy, którym lutnią swoją służył, sprawią, że pieśń jego nie będzie bez zapłaty u potomnych:

„A co mi za żywota ujmie czas dzisiejszy
To po śmierci nagrodzi z lichwą czas póź-
[niejszy
I opatrzył to dawno syn pięknej Latony
Że moich kości popiół nie będzie wzgar-
[dzony“.

— — — — — — — — —

Wieki stwierdziły słuszność słów poety — dziś, gdy upływa lat 400 od dnia narodzin wielkiego twórcy i znawcy piękna w poezji — szczycimy się tem, że on pierwszy w „rym królewski“ przyodział nasz język, który odtąd stał się zdolnym

„Powiedzieć wszystko, co pomyśli głowa“
być nieraz „jak piorun jasny prędki,
A czasem jako skarga nimfy miękki,
A czasem piękny, jak aniołów mowa“.

M. Al.



ŚW. EMERYK

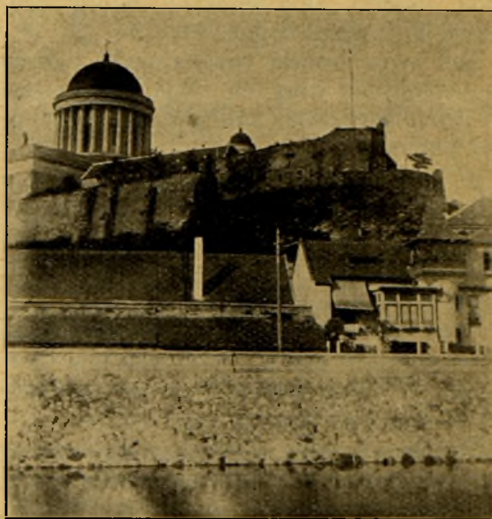
Na wyniosłej skale, nad sinemi falami szeroko rozlewającego się Dunaju, wznoszą się widne zdala potężne mury bazyliki ostrzyhomskiej, katedry prymasa Węgier, a obok niej resztki prastarego zamku, najdawniejszej siedziby królów węgierskich, stolicy patrona i budowniczego państwa węgierskiego, św. Stefana.

Znaczyły się tam w ciągu dziejów ślady niejednej potęgi i niejednego narodu — i stopy legjonistów rzymskich i tureckiego najeźdźcy. Nie brakowało też i wspomnienia Polski. Na rozległej, widnej z Ostrzyhomia równinie, po drugim brzegu Dunaju, gromił Turków pod Parkany'em Sobieski, oswobodziciel katedry ostrzyhomskiej, którą Turcy, wraz z twierdzą, zdali w kilka dni później na imię króla polskiego. Patronem tej oswobodzonej przezeń od półksiężyca katedry, był od czasu jej założenia, nasz św. Wojciech, o którego apostolstwie na Węgrzech tak mało się u nas pamięta.

Były to czasy, kiedy świeżo zaprowadzone w Polsce i na Węgrzech chrześcijaństwo, zmagało się jeszcze z pogaństwem, trwającem ciągle wśród ludności rozległych, niedostępnemi puszczami lub bezmiernym, węgierskim stepem pokrytych krain. Zrzadka tu i ówdzie w wielkich tylko grodach królewskich, wznosiły się kościoły; nie byjo miast, jedynie pod zamkami tuliły się niewielkie podegrodzia.

Nieliczne pustelnie eremitów i klasztory benedyktyńskie, powstające u nas w ciągu XI. wieku, podobnie jak i na Węgrzecg, szerzyć pomagały wiarę misjonarzom, idącym śmiało w dalekie i niegościnne ostępy, wśród których kryło się pogaństwo.

Brakowało księży rodaków, prac misyjnych podejmowali się obcy; czasem staraniem władców zapraszani do kraju, nierzadko przybywali z własnej woli, przejęci gorliwością szerzenia wiary. Takim był św. Wojciech, który przed przybyciem do Polski nauczał i na Węgrzech, takim był opat Benedyktynów, sprowadzony do Węgier przez św. Stefana, św. Gerard, Wenecjanin. Wielki uczony i asceta zarazem, pierwszy biskup Csanadu i apostoł wschodnich, pogańskich wtedy jeszcze Węgier, poniósł później śmierć w czasie zbrojnych zamieszek, wszczętych przez pogan. Tak bowiem jak u nas (po śmierci Mieszka II) i na Węgrzech pogaństwo chwytało za broń, by obalić nową wiarę i nową, wnoszoną przez nią kulturę. Nic też dziwnego, że na Węgrzech na wieść o śmierci i kanonizacji św. Wojciecha, oddano w jego opiekę nowo stworzoną wtedy katedrę arcybiskupią.



Zamek i Katedra w Ostrzyhomiu. Podwójny krzyż na murach oznacza miejsce komnat św. Stefana.

Tam to w Ostrzyhomiu, w sąsiedztwie tej katedry nazwanej imieniem polskiego męczennika, wzrastał syn i spodziewany następca św. Stefana, Emeryk, którego właściwe imię Henryk, przybrało w ustach węgierskich zmienione brzmienie Imre, (łacińskie Emericus). Zmarły w młodym wieku (lat 24), stał on się ideałem, wzorem i patronem młodzieży

węgierskiej, a 900 letnią rocznicę jego śmierci, obchodzić będzie w bieżącym roku naród węgierski wśród wielkich uroczystości, w których weźmie udział cały świat katolicki.

Wcześnie bardzo postać jego i życie osnuły legendy złotemi blaskami cnót i doskonałości, przypominającemi w wielu szczegółach (gorąca wiara, żarliwość modlitwy, śluby czystości) rysy naszego św. Kazimierza, do którego najbardziej zbliża go nietylko wiek, królewskie pochodzenie i związana z tem konieczność przygotowania się do sprawowania rządów, ale i cześć pośmiertna jako wzoru chrześcijańskiego młodzieńca.

Sporą garść szczegółów dają nam źródła o jego życiu i wychowaniu. Wiemy, że troskliwy ojciec powierzył naukę jego owemu właśnie sprowadzonemu z Włoch, św. Gerardowi, że wielki wpływ wywarł nań światły Maurus, biskup z Pécs. Najwięcej jednak o duchu, w jakim był wychowany, dowiedzieć się możemy z głośnych „Upomnień", jakie skreślił ojciec jego, św. Stefan, dla niego, jako przyszłego władcy Węgier i swego następcy. Po wielu radach tyczących rządów, do których zaprawiał syna przez przyznanie mu udziału w radzie koronnej, znajdujemy rozdziały o modlitwie, pobożności i miłosierdziu, w których czytamy między innem:

„Ciągła modlitwa jest zmyciem i odpuszczeniem grzechów. Ty więc, synu mój, ilekroć przychodzisz do wiątyni Boga, aby Go chwalić, módl się ze Solomonem: *Emitte Domine sapientiam de sede magnitudinis Tuae*... Tak modlili się dawni królowie".

„Król powinien być pobożnym, miłosiernym, powinny go zdobić wszelkie cnoty. Król splamiony bezbożnością i srogością, napróżno przywłaszcza sobie tytuł króla, — gdyż winien zwać się tyranem. Dlatego to, synu mój najukochańszy, słodyczy serca mego, przyszła nadziejo rodu, wzywam cię i nakazuję, abyś był zawsze i we wszystkiem pełen dobroci i pobożności, nietylko dla krewnych, książąt i bogatych, nietylko dla sąsiadów i ludu własnego, ale i dla obcych i dla każdego, kto się do ciebie zwróci.

Bądź miłosierny dla cierpiących od przemocy, cierpliwym dla wszystkich, nietylko potężnych lecz i słabych i bądź dzielnym, by pomyślność zbyt cię nie wyniosła a niepowodzenie nie złamało, bądź pokornym, a Bóg cię wyniesie i tu i w przyszłem życiu i bądź umiarkowanym, abyś ponad miarę nikogo nie ukarał, bądź szlachetnym, byś nigdy nikogo świadomie nie znieważył, bądź wstrzemięźliwym, a unikniesz żądz wiodących do śmierci. Te wszystkie cnoty składają koronę królewską, bez której nikt nie może ani tu rządzić, ani przejść do królestwa wiekuistego".

Tak wyglądał ideał cnót królewskich Apostoła Węgier i w tym duchu wychowywany był patron młodzieży węgierskiej, w kilkadziesiąt lat po swej przedwczesnej śmierci, spowodowanej zranieniem go przez dzika na polowaniu, kanonizowany jednocześnie ze swoim ojcem, św. Stefanem (1083 r.).

Bodaj, że najwcześniej poza Węgrami, cześć jego rozszerzyła się w Polsce, a to w związku z klasztorem benedyktynów na Łysej Górze, od przechowywanej tam



Budapeszt, Pomnik św. Gerarda.



Pomnik św. Emeryka, którego odsłonięcie odbędzie się 17. sierpnia b. r. w czasie kongresu.

cząstki Krzyża św., zwanego świętokrzyskim.

Klasztor ten, jedna z najstarszych placówek chrześcijańskiej kultury w Polsce, wiązał swe powstanie z pobytem św. Emeryka w Polsce. Późniejsze źródła powstałe w tym klasztorze, a także i Długosz, zarówno w swej „Historji" jak w „Liber beneficiorum", opowiadają szeroko tę legendę o pobycie św. Emeryka, a choć różnią się ze sobą w pewnych szczegółach (n. p. co do imienia króla polskiego: Bolesława czy Mieszka, co do celu przybycia św. Emeryka do Polski), przecież zgadzają się w tym jednym najważniejszym fakcie, iż dar cząstki Krzyża św. przez węgierskiego królewicza, dał początek nazwie i istnieniu słynnego klasztoru na Łysej Górze, z której — jak mówi Długosz — „we wszystkie strony na okół tak wielki i rozległy jest widok, że oczyma objąć go niepodobna". Wedle obszernej relacji Długosza, który dobrze znał klasztor świętokrzyski i jego dzieje, św. Emeryk bawił w Polsce niejednokrotnie za panowania Bolesława Chrobrego, który młodego księcia, a swego bliskiego krewnego, niezwykłą otaczał życzliwością.

„Pewnego więc czasu, — pisze w swej „Historji" — gdy Bolesław zabawiał się łowami w lasach swoich około Kielc, a miał w towarzystwie swojem księcia Emeryka, zdarzyło się, że w pogoni za jeleniem, wybiegł był na szczyt gór, które Łysą Górą nazywają. Tu, poniechawszy rogacza, poczęli z podziwieniem przypatrywać się rozwalinom odwiecznej budowy, które skutkiem powszechnego potopu i dawności czasu zsypały się w ogromne skał pokłady, jakie i dziś oglądamy. Powiadają bowiem, że to miejsce miało być niegdyś mieszkaniem i twierdzą olbrzymów, mężów wielkiej siły, którzy tu przez jakiś czas przebywali i mieli swoje osiedle. Mąż zatem święty, Emeryk, natchniony Duchem Bożym, a jak niektórzy wierzą i utrzymują, upomniany widzeniem nocy poprzedniej, osądził, iż to miejsce, które z osobliwszego położenia i starożytności, dziwnie sobie upodobał, najstosowniejszem było dla sług Bożych, prowadzących życie pustelnicze, i że się nie godziło, ażeby takie miejsce bezludnym dziczało odłogiem. Prosił więc stryja i krewnego swego Bolesława, aby dla chwały Bożej i pomnożenia wiary chrześcijańskiej, a ku zbawiennemu dusz wspomożeniu, kościół w tem miejscu i klasztor wystawił, za co po śmierci pewniejsze i szczęśliwsze odziedziczy królestwo i zalecony tak

świętem dziełem, zasiędzie między niebiany. A gdy Bolesław, król Polski, wspaniałą i prawdziwie królewską wiedziony hojnością, chętnie na to zezwolił, książę Emeryk uradowany, że prośba jego skutek odniosła, podziękowawszy naprzód Bogu, a potem królowi Bolesławowi, zdjął z siebie krzyż dwuramienny, zawierający znaczną cząstkę drzewa Pańskiego, oprawną w srebro, a przysłany ojcu jego, Stefanowi, królowi węgierskiemu, od cesarza greckiego z Konstantynopola jako dar największy, i krzyż ten, który na piersiach zwykle nosił, ofiarował temu właśnie miejscu (takie bowiem otrzymać miał w onem widzeniu upomnienie). „To drzewo, rzekł, najdroższe, zroszone krwią Zbawiciela, nad które nie miałem i mieć nie mogę nic kosztowniejszego, daję i ofiaruję temu miejscu, a z łaski Boga użyczy on mocą swoją wszystkim do niego się uciekającym mnogich dobrodziejstw w rozmaitych potrzebach, utrapieniach, kłopotach i uciskach". Król Bolesław zatem, spełniając swoje przyrzeczenie, wystawił na tem miejscu klasztor św. Benedykta, należycie i z królewską wspaniałością uposażony a do sprawowania służby Bożej, sprowadził braci, noszących szatę zakonną św. Benedykta. Kościół także na cześć i chwałę św. Krzyża greckim wzorem z kamienia od samych posad wybudował i złożył mu do przechowania najdroższy skarb drzewa Chrystusowego, ofiarowany od błogosławionego męża Emeryka, który to kościół — kończy Długosz — zachowawszy do dziś dnia pierwotną postać i budowę, poświadcza swoją wielką starożytność".

Ma więc patron młodzieży węgierskiej, którego cześć niegdyś szerzył klasztor świętokrzyski, swoją piękną i starodawną legendę i w Polsce; czyni nam go ona bliskim i włącza do szeregu tych wielkich postaci, które od zarania dziejów, od czasów św. Wojciecha, przez wieki uświęcone imionami bł. Salomei, Kingi, Jolanty i królowej Jadwigi, prowadziły chrześcijańską myśl polską i węgierską wspólnemi drogami.

Dr. Jan Dąbrowski
Prof. Uniw. Jagiell.

Dusza Czara:

Z CYKLU „MATKA i ZIEMIA".

— zda ci się wreszcie, iżeś jest w ojczyźnie
i tak chcesz spocząć jakgdyby u siebie,
w ścian załamanie stawiasz kij tułaczy,
a sakwy swoje rozwiązujesz w rogu —

— pieści się twoją skronią
cicha matki dłoń,
patrzy na ciebie
Krysta twarz z obrazu,
co z blakłych zwisnął ścian —
— koroną jasnych włosów
ktoś swą skłonił głowę

ku tobie lekko,
miłośnie,
pieśni ci dzwonią
ojczyzną pachnące,
na drogich ludzi
patrzysz się radośnie
i siedzisz cicho —

— gdzieś biją dzwony z wież kościelnych wyży,
miękki się czołga poprzez pokój zmierzch,
każe ci spocząć iść
matczyny zew —

— już późno jest —
— wszystko oddecha głęboko
a ty —
z źrenicą otwartą szeroko
leżysz
i słuchasz —
— — — —
— wtem —
upadł kij, co dotąd w kącie stał
z obrazu patrzą wciąż oczy Chrystusa —
— — — — — — — — — — — —
powolnie dźwigasz się z białej pościeli
— i znowu w ciemną idziesz noc,
w nieznany mrok,
we świat —

tłum. z niem. *Eugenj. Stan. Stec.*

KARTKI Z PODRÓŻY

Trzeciego dnia znacznie się ociepliło, byliśmy na wodach hiszpańskich i po południu „S/s Andes“ podchodził do zatoki, przy której leży port Vigo.

W dali fioletowe masy gór, a w dolinach dywany z pól i gajów, przetykane bielejącemi plamkami w nieładzie rozrzuconych kamiennych zabudowań. Lecz dalej bieleje większe skupienie domów — to Vigo. Okolica posiada dzielnych rybaków — poławiaczy sardynek, którzy się zapuszczają daleko od brzegu na swych niewielkich kutrach i dzielnie walczą z falami. Morze tu bywa często bardzo burzliwe.

Na masztach wzbiły się i zatrzepotały sygnałowe flagi. Vigo zwykły hiszpański port. Od brzegu odbija kilka małych katerów z pasażerami, za niemi płyną na łodziach przekupnie.

Pierwsza wkracza na pokład straż wojskowa w czarnych błyszczących kepi lub trikornach. Tak musi wyglądać „Don Jose“ z opery „Carmen“; smagła cera, brunet tęgiej postawy, rynsztunek na nim leży doskonale, spojrzenie surowe.

A ten drugi to „Zuniga“.

Za strażą wchodzą urzędnicy, agenci i pasażerowie. Fala hałaśliwych przekupniów usiłuje po wąskim trapie przedostać się na pokład, lecz marynarz Anglik podnosząc rękę nie puszcza nikogo.

Gniewa to piękne dziewczyny z Vigo. Co za żywość! Jedna z nich młoda, o włosach kruczych aż do sinego połysku, w ładnie narzuconej na ramionach chuście, istna „Carmen“ o delikatnych rysach twarzy, błaga marynarza, by ją przepuścił, ale ten nieubłagany tylko się uśmiecha.

Jak okiem sięgnąć wokoło góry, szare, kamieniste, ledwo przypruszone zielenią, tylko w dolinach życie i ogrody. Zalatuje zapach żywicy i wieczorny dzwon kościołów. Miasto liczy do 60.000 mieszkańców rozłożone nad zatoką wznosi się ku górze, na której widać starą forteczkę. Domy typowo południowe, kilka kościołów, większych gmachów rządowych, hoteli i giełda — uzupełniają obraz.

A gdzież jest toreador „Escamillo“? Wzrok mój pilnie szuka wśród tej masy budynków coś, co mogłoby przypominać cyrk do walki byków. Zapytany przeze mnie pierwszy z brzegu przybysz oznajmił, że aby ujrzeć „corrida de toros“ trzeba jechać do pobliskiego miasta.

Przymrużywszy oczy i patrząc na dalekie siniejące fioletowe złomy skał, po których chyba tylko kozy lub kontrabandyści mogą się wspinać, zdawało mi się, że słyszę w pamięci dźwięki z trzeciego aktu tej opery Biset'a. Pasażerowie wsiedli, formalności skończone. Sygnał, ruszamy do Lizbony.

Nad ranem zerwał się wiatr, statkiem poczęło kołysać, morze pieniło się i lśniło od białych baranków, był chłodny, orzeźwiający słoneczny poranek. „Andes“ sunął wzdłuż portugalskich wybrzeży, kierując się do ujścia Tagu, przy którem leży Lizbona.

Luzytanja, Kartagina, Rzym, Maurowie, epoka wielkich odkryć — wszystko to przesuwa się w myśli. Portugalja posiada przepiękną tradycję morską.

Wchodzimy do ujścia rzeki, rozpoczynają się podmiejskie wille, miasteczka, widać pałac królewski w koszarowym stylu, wiatraki, pola, ogrody. Na lewo na piaszczystym brzegu stoi baszta „Torre de Belêm“ wzniesiona na cześć Vasco de Gamy. Nareszcie po godzinie „Andes“ rzuca kotwicę nawprost Lizbony, która rozrzucona na wzgórzach, lśniąc w słońcu, przypomina Stambuł tylko bez minaretów.

Zaczyna się zwykły ruch portowy, wyładowywanie bagaży, pykanie łodzi motorowych, na pokładzie istna wieża Babel. Mamy kilka godzin postoju, a więc zjeżdżam na brzeg.

Łódź wyrzuca nas na małej przystani przy obszernym placu. Odrazu buchnął żar rozpalonych kamieni i zapach miasta.

Wdali na placu drzewa palmowe, ruch niewielki, naprzeciw idą wysmukłe kobiety z ogromnemi koszami na głowach, niczem figury antyczne. Dalej dwukółki ciągnione przez muły, przechodnie, banki dla wymiany pieniędzy, tawerny, z których dolatuje swąd od smażonej na oliwie ryby, dalej stare mury, zaniedbane.

Słońce pali niemiłosiernie — prawdziwe południe.

Na niektórych placach zaprzężone muły czekają na wynajęcie pod specjalnie wzniesionym dachem, opartym tylko na słupach.

Idę w kierunku centrum miasta. Lizbona liczy obecnie około 600.000 mieszkańców, a do jej portu zawijają prawie wszystkie okręty, płynące do Ameryki Południowej.

Od roku 1910 Portugalja jest republiką, ale to bynajmniej nie przyspaża pokoju.

Wciąż się słyszy o spiskach, a czasem sprawa dochodzi do zbrojnego wystąpienia pojedyńczych pułków. Gdy byłem tu trzy lata temu podczas wielkich uroczystości Camôes'a zastałem jednocześnie strejk poczty i bunt wojsk lotniczych. To też wcale się nie zdziwiłem, gdy dziś nad przystanią ujrzałem nagle, w biały dzień na jasnem niebie 4 kłębki dymu od eksplodujących szrapnelów. Pytam pierwszego napotkanego funkcjonarjusza, czy to nie rewolucja.

— Nie — odpowiada, to poświęcenie żaglowca, skąd puszczają rakiety na wiwat.

Główne bogactwo kraju — to wino, owoce i sardynki. Anglja usadowiła się mocno na tym rynku i wywiera swój przeważający wpływ, czyniąc z Portugalji poniekąd swoją ekspozyturę. Portugalczycy sami przyznają, że kraj ich przeżywa upadek, choć mają tyle jeszcze kolonij i tyle jeszcze do zrobienia. Pierwsi oni zawładnęli Indjami, zawiązali stosunki handlowe z Chinami i Japonją, wywarli wpływ cywilizacyjny na ogromną część Afryki, utworzyli Brazylję.

Portugalczyk z natury swej żywy i inteligentny, ma w sobie dużo z kupca i marynarza, chętnie emigruje, gdyż w kraju ludność stale wzrasta.

W roku 1775 Lizbonę nawiedziło straszne trzęsienie ziemi pamiętne w kronikach całego świata. Miasto legło w gruzy pochłaniając moc ofiar ludzkich.

Handlowa część miasta poza kilkoma staremi budynkami i kościołami nie posiada żadnych osobliwości, wolałem przeto błąkać się po starem mieście. Natrafiłem na ruiny jakiegoś kościoła, w którym urządzono rodzaj muzeum sztuki rzeźbiarskiej. Obok w starym pałacu w zacienionym korytarzu była kordegarda, gdzie na ławach pod ścianami siedzieli żołnierze i palili papierosy. Kręta i wąska uliczka wije się w górę, przy niej tawerna, za tawerną na bruku zdychający kot, śmiecie, w górze pomiędzy domami, nad ulicą, sznury suszącej się bielizny. Lud prosty o ładnych rysach twarzy, kobiety zgrabne.

Wchodzę do kościoła. Chłód, cień, i cisza. Posągi Świętych malowane i przybrane w suknie z drogich materjałów. Z Lizbony pochodzi św. Antoni Padewski, to też kult Jego jest tu wielki.

Lecz czas leci, chwila odjazdu zbliża się, trzeba powracać do łodzi, która mię odwozi na statek. Gdy wstąpiłem na pokład zgrzany, zmęczony i głodny, poczułem że jestem już „w domu“. Statek kończył załadowywanie kolosalnej ilości cebuli i suszonej ryby, przeznaczonej do Brazylji. Powoli ruszamy i wkrótce wychodzimy na pełne morze. Jeszcze widać brzegi Estramadury — ostatnie brzegi Europy. A więc stary lądzie żegnaj!

(C. d. n.) *Dr. B. Kalitowicz.*



EMIL ZEGADŁOWICZ

O kwiatach z poza zasieków.

W tej ziemskiej podróży
— społem czy samotnie —
duch tysiąckrotnie się nuży
i dźwiga tysiąckrotnie.

Przeciwieństwa się pietrzą
i coraz więcej progów
chwilę ciszy najświętszą
urzeka tylu bogów — ! —

Nienawiści i waśnie
i rozumu władza —
oto właśnie,
co drogę zagradza.

Dusza idzie
jak święta mniszka
zapatrzona w zwidzie
każącego do ptaków świętego Franciszka.

13)

KU SWOIM

W tymże samym czasie, mały Janek leżał z przyjacielem swoim Sydorem, w miękkiej, rozbujałej trawie, puszystym kobiercem otaczającej gruzy rozbitego dworu. Wyciągnięci na wznak, obaj chłopcy mrużyli z rozkoszą oczy przed słońcem. Gdy rozwierali powieki pełne kół błękitnych i złotych, rozpierzchłe wiechy traw nachylały się tuż nad twarzami. Nieco wyżej niby zawieszone w połowie między gorącym błękitem nieba, a ich bezpiecznem przytuliskiem w trawie, drżały liljowe pęki kwitnących bzów. Niektóre kiście pełne jeszcze były barwy, gdy inne już zblakłe poczynały nabierać miękkiego odcienia rdzy i sypały na czoła leżących ulewę maleńkich bladych gwiazdeczek. Bzy te sadziła niegdyś, babka Janka. Były już stare, rozrośnięte i pokręcone dziwacznie. Lecz kwitły bujnie co roku, nie dbając o to, czy kto podziwia i widzi ich piękno, czy nie, — jak gdyby zaklęcie dobrych drobnych dłoni, co je przed półwiekiem sadziły, twierdzących zawsze, że dobro trzeba czynić dla siebie samego, nie stojąc o to, czy je kto ocenia lub nie, — przetrwało w korzeniach krzów, aż do tych czasów.

Błękitnemi jak niebo oczami Janek zapatrzył się w kwiaty.

— Wiesz, — to już we wtorek — rzekł z cicha. Sydor w odpowiedzi mruknął niezrozumiale coś, co oznaczało, że wie.

— Oni myślą, że ja jestem taki jeszcze głupi i mały, że się nic nie domyślam, — ciągnął Janek. Wywieść mnie chcą, jak barana, niby do znachora z mamą... A ja wiem.

Usiadł w trawie, przecierając oślepione słońcem oczy.

— Wiem więcej niż oni! — zakrzyknął, — bo mama myśli, że już tu nigdy nie wrócimy, — płacze biedaczka po nocach, a ja jestem pewny, że wrócę, wrócę jak tylko dorosnę...

— Książek przywieziesz — przypomniał przyjaciel.

— Jakże! dużo, dużo książek, żeby była pełna szafa! Sam się będę strasznie uczył... wszystkiego się nauczę co tylko w szkołach uczą i wszysto ci potem powiem. — Będziesz tak umiał każdą rzecz jak ja...

— Pamiętaj — rzekł z naciskiem chłopak, — bo jakbyś zapomniał, to...

— Jabym zapomniał! wykrzyknął z uniesieniem malec. Objął rozszerzonemi oczami wzgórze i zwaliska domu, staw w dole, wieś po za nim, gęstwę szumną drzew i kiście bzu, — jak gdyby chłonął w siebie ten obraz, zamykał w duszy, by pozostał tam niezatarcie jasny i wyraźny na całe dlugie życie. Ogarnęła go miłość do tego kawałka ziemi, większa, niż dziecinne jego serduszko mogło zmieścić. Łzy stanęły w oczach. Zapragnął objąć coś, uściskać, choć sam nie wiedział, czy ziemię i bzy, czy Sydora. Spojrzał na niego ukradkiem mokremi oczami.

Sydor pociągnął hałaśliwie nosem, nie tyle z potrzeby, ile dla uprzejmego zamanifestowania swych wzajemnych uczuć. Był twardszym synem ziemi, mniej wrażliwym. Nie znał roztkliwiań.

— Szkoda, że Janek wyjeżdża, — pewnie że szkoda, pewnie nudzić się będzie bez niego, — ale cóż na to poradzić? Losu nie ujdziesz. Niechaj jedzie skoro trza.

— Jak wrócę, — mówił Janek, otrząsając się męsko z łez, — odbudujemy dwór. Poproś bat'ka, żeby nie pozwolił tych drzew rąbać... Odbudujemy dwór tak jak był, i...

Zastanowił się, co zrobi wówczas z tym wielkim, zbyt wielkim przecież dla niego domem.

— Zrobimy w nim szkołę i będę zaś wszyskich uczył — wykrzyknął radośnie.

— Można, — zgodził się Sydor i spojrzał badawczo na towarzysza z pod czarnej jak węgiel czupryny.

— Słuchajno, — zagadnął podejrzliwie, — nie wrócisz ty czasem — panem?

— Panem? — powtórzył Janek zdziwiony. Nie zdawał sobie sprawy, co by to słowo mogło oznaczać w stosunku do niego.

Sydor coprawda też nie wiedział dokładnie.

Minęło już wszakże wiele czasu, odkąd zniknęli z tych stron ostatni „panowie“.

Brodząc po kolana w rozpychającej się, żywotnej, oszalałej majem trawie, chłopcy schodzili w dół do stawu. Tylko na brzeg, bo ukochana ich łódź rozleciała się ze starości w ciągu ostatniej zimy, choć wyciągnęli ją na brzeg jesienią. Spróchniałe do szczętu boki odłupały się, gdy próbowali spuścić ją na wodę. Dno czerniało dziurami. Nie było już czem popłynąć na wyspę Robinsona.

— Zrobimy nową, prześliczną, jak wrócę, — postanawiał Janek. Nagle zatrzymał się:

— Skaży Sydor, — ne budesz howoryty nykomu, że wyjeżdżamy? Bo wiesz, — mama by płakała...

— Szczo maju howoryty? — odparł mrukliwie jak zwykle Sydor. — Jakbym powiedział, to by cię nie puściły i nie przywiózłbyś książek.

— Taj, uże łuczsze — jidy!!

C. d. n. *Z. Kossak-Szczucka*



WW CZASIE BURZY

15)

Opowieść z niedalekiej przeszłości.

(Dokończeuie).

Oczekiwali go wzruszeni pp. Rawiccy, zaciekawiona Haneczka i Stefan, słaby jeszcze po przebytym tyfusie, ale rozpromieniony.

Już kilka razy odzywał się dzwonek w przedpokoju, ale to nie było to. Dopiero ten głośny, niecierpliwy wraz z szuraniem nóg za drzwiami okazał się nieomylnym znakiem.

— Jędrek!

W tym okrzyku zawarły się wszystkie uczucia — tęsknota, dawna trwoga i radość powitania.

Później dopiero posypały się bezładne wykrzykniki, pytania i relacje, pragnące w jednem zdaniu zamknąć ogrom wrażeń.

Do łez rozczula rodziców widok Jędrka z ręką na temblaku, zniszczony mundur, ogolona głowa, twarz zczerniała i surowo wyostrzone rysy.

– Co też się z tego chłopca zrobiło...

Tylko oczy niebieskie tym samym blaskiem płoną i w głosie dźwięczy duma, kiedy opowiada chaotycznie, jak to wtedy szrapnelem tyraljerkę bolszewicką rozpędził.

Słuchają go z zapartym oddechem i ze łzami wzruszenia. Haneczka uwielbienie dla bohaterskiego, jakby nowego i obcego brata — wyraża nieśmiałem dotykaniem orderu, z którego jest taki dumny.

To nic, że w tej dumie jest coś z dziecinnych przechwałek dawnego „indyjskiego wodza," bo na dnie wszystkiego leży jądro prawdziwego zrozumienia. Ten „krzyż walecznych" na młodej piersi Jędrka, to nie zabawka chłopięca, to nie tylko zadowolenie ambicji — nietylko dowód zapału, czy bohaterstwa jednostki — to symbol zawsze żywej polskiej ofiarności i polskiego męstwa.

Wkrótce też zjawił się Franek z plecakami, które gdzieś zmarudził na kolei.

Przyjęto go serdecznie. Odpowiadał na wszystko szerokim uśmiechem i stwierdzał radośną prawdę:

— Aleśmy następnie przegnali bolszewików!

Elegancka pokojówka p. Szorskiej mocno była zgorszona, że ten „zwyczajny" żołnierz został zaproszony do stołu i miał nocować na kanapie. Pani Rawicka, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia, zajęła się stroną praktyczną.

Czem była ciepła kąpiel, czysta bielizna, smaczna kolacja i wygodne łóżko!.. Mogli to odczuwać tylko ci, którzy przeżyli udrękę brudu, głodu i całą poniewierkę wojny...

Jędrek, doznawszy tych wszystkich, dawniej tak zwykłych, a dziś niewypowiedzianie rozkosznych dobrodziejstw, stwierdził z całem przekonaniem, że życie jest piękne i chrapnął wkrótce ku niezadowoleniu innych, którzy radziby byli w nieskończoność zasypywać go pytaniami.

Rozdział 24.

— Panno Tolu, nie męczy pani ta bezustanna praca?

— Ach, nie, tak się cieszę. Widzi pan, Warszawa ocalona. I pan teraz już szybko powraca do zdrowia. Jaki Bóg dobry, prawda? — podniosła na niego oczy rozjaśnione rzewnie i troskliwym ruchem podała lekarstwo. Jerzy podziękował serdeczniej niż zwykle. Bo też dzisiaj szczególnie wzruszała go jej dobroć.

Podczas gdy krzątała się przy innych chorych, gonił wzrokiem białą postać, reasumując w myślach spostrzeżenia.

Miła twarzyczka siostry Toli, która majaczyła mu w czasie gorączki i na której zatrzymały się pierwsze przytomne spojrzenia — stała się dlań uosobieniem dobroci, troskliwości i opieki. Był taki samotny. Babka u krewnych w Krakowie. Nikt go nie odwiedzał. Jedyne oczy, z niepokojem śledzące przebieg choroby — to rozumne oczy siostry Toli, teraz takie rozjaśnione.

Przypomniał sobie słowa starego lekarza: „Będzie zdrów. Zawdzięcza to

w znacznej mierze pani nadzwyczajnej troskliwości.“

I ten pobłażliwy domyślny uśmiech poczciwca....

Czyżby ona?...

Nie, dla wszystkich jednakowo dobra, pełna poświęcenia. A jednak... Pamięta jej wzruszenie, kiedy stracił gorączkę, te ręce drżące, gdy sprawdzała termometr i te łzy daremnie wstrzymywane. Inna na jej miejscu nie przejęłaby się tak bardzo. Biedactwo... Nigdy nie był dla niej dobry, nie darzył sympatją, jak inne.

Z pogardą wspomniał ucieczkę Wandy i jej obojętne pożegnanie.

— Głupi byłem — powiedział prawie głośno.

Miłą wydała się myśl, że cieszy się specjalnemi względami siostry Toli.

Gdy pochyliła się nad nim, w oczach i uśmiechu odnalazł prócz jasności, zniewalający urok dziewczęcego wdzięku.

Że też ja tego dawniej nie widziałem — pomyślał, odwzajemniając się serdecznym spojrzeniem.

— — — — — — — — —

Gdy rodzina Rawickich gromadnie przyszła odwiedzić Jerzego, był już znacznie zdrowszy i z zajęciem brał udział w ogólnej rozmowie. Jakże było przyjemnie po tak długiem niewidzeniu się opowiedzieć wzajemne przeżycia i przygody.

Jerzy wypytywał Stefana i Jędrka, oni z ciekawością słuchali opowiadań o radzymińskiej bitwie.

— Toś ty był w największym ogniu — ożywił się Jędrek, a myśmy cię tchórzem nazwali...

— Nie wiele brakowało, abym nim na zawsze pozostał — przyznał się cicho Jerzy. Wyście z polskich cech charakteru wzięli odwagę i entuzjazm, we mnie wadliwe wychowanie rozwinęło jego największą wadę — słabą wolę. Potrzeba było długich godzin walki i moralnych wstrząśnień, aby obudzić w sercu to, co najżywotniejsze, co jego wartość stanowi...

— Proszę tak wiele nie mówić — przerwała te zwierzenia Tola — zapomina pan, że nie wolno mu się męczyć, że był ciężko chory.

— A kiedy muszę mówić, muszę — unosił się zapałem. Niech choć w części wypowiem, co się ze mną dzieje...

— Cieszy się, żeśmy przegnali bolszewików — poddał Stefan.

— Ale i to także, że zdążyłem jeszcze stanąć w szeregach obrońców, że mogę teraz brać udział w ogólnej radości, że i moja krew ją okupiła... Wzruszony Jędrek porwał Jerzego w objęcia.

Tak mi mów! Tego od ciebie czekałem!

— Druh i brat nam jesteś — dodał Stefan.

Wszystkim udzielił się serdeczny nastrój. Pani Rawicka i Haneczka częstują słodyczami rannych, dziedzic opowiada z dumą jak Jędrek „Krzyż walecznych“ zdobył, chłopcy gwarzą wesoło, a Tola rozpromieniona słucha ogólnych pochwał i uznania swej pracy.

Gdy goście odeszli, Jerzy rzekł cicho do stojącej obok Toli.

— Gdyby nie pani, nie mógłbym im dzisiaj w oczy spojrzeć... Jej wpływ najwięcej zrobił... Ten dzień, kiedy powiedziała pani, że mną gardzi... Twarz Toli zasnuła się cieniem.

— To była dla mnie straszna chwila — szepnęła. — Potem robiłam sobie wyrzuty, kiedy pan walczył ze śmiercią...

Spojrzał na nią serdecznie.

— Tyle pani z mojego powodu wycierpiała... Tyle jej zawdzięczam... Honor i życie...

— Życie pan Bogu zawdzięcza — odrzekła — a moja troskliwość... to... Po co wspominać zło, które minęło?

— Bo to zło nauczyło mnie wiele dobrego. Żeby pani wiedziała, jak teraz prawdziwie kocham to ocalone cudem życie!

Przejęła jego uśmiech i rzekła z zachwytem.

— Warto było wiele cierpieć dla takiej chwili, jak dzisiejsza!...

— I dla tych które przyjdą. Bo teraz już wiem, gdzie jest moje szczęście — skończył cicho.

Pod wpływem tego głosu i wymownego

spojrzenia radosnem wzruszeniem zadrżało serce Toli. Cała w zorzach rumieńca, promienne oczy zwróciła na Jerzego i rzekła jasnym głosem:

— Szczęście to nagroda czystego sumienia. Kto to zrozumiał — znajdzie je napewno...

Koniec.

Alina Kwiecińska.

ŚWIĘCONE

— Jagna!

— A co ta?

— Czy te baby dobre?

— Pewnie że dobre, co ty myślisz!

— Prawda; że ta najlepsza?

— Dajcie mi pokój — rzekła Jagna zajęta właśnie układaniem święconego w koszyku — taki święty dzień a ty ino o jedzeniu myślisz.

— Moja Jaguś... Tylko jedno słowo...

— A kiedy ten post się skończy?

— Skoro Jegomość pierwsze alleluja zaintonują.

— A wtedy wolno nam będzie jeść?

— Ile wam się spodoba — roześmiała się dziewczyna, błyskając ząbkami w uśmiechu.

— Niech żyje Jagna! — wykrzyknęli obaj chłopcy, rzucając się jej na szyję w dzikim zapale. Poczem znów zaczęli przegląd placków.

— A tylko mi niczego teraz nie polizujcie! — pogroziła Jagna braciom — bo ojcu powiem i nic wam ze święconego nie dam, zobaczycie...

Okręciła się chustką, wzięła kobiałkę i pobiegła przed drzwi kościelne, gdzie Jegomość święcił. Tak zeszło jej przedpołudnie. Wieczorem zaś, gdy już porządki w chałupie pokończono, wystroiła się w kamasze jak przystało, wyniosła chłopcom nowe kabaty, jeszcze ojcu i matuli pomogła, poczem wszyscy ruszyli na rezurekcję.

Narodu było już moc, że chłopcy musieli tęgo łokciami robić, by się do grobu docisnąć, ale się ta jakoś docisnęli. Jagusia zadarła głowę i patrzy: Błyszczą się rzędem lampki kolorowe, płomyki po nich latają w tę i ową stronę, hiacenty różowe i białe tłoczą się tuż przy Monstrancji... o mój Jezusieńku! A tu, jak nagle Jegomość nie zaintonuje: „Wesoły nam dziś dzień nastał — Alleluja" — to jakby ci piorun huknął — zaraz się i tłum porwał i zakołysał niby morze, potem ruszyła procesja ku drzwiom, że musiałeś iść, choćbyś nie chciał.

Jagusia śpiewała co ino sił miała.

Gdzieś na wieży biły dzwony, niżej śmiały się drobne dzwoneczki ministrantów, buchał blask od świec i od tych oczu rozradowanych...

— O mój Jezusicku — Wesoły nam dziś dzień nastał. Alleluja! Alleluja!

— Gdzie chłopcy? — przemknęło nagle Jagusi przez myśl, ale się wraz uspokoiła, w takim tłoku to nie dziwota że jej znikli z oczu.

Tymczasem już po rezurekcji, odnalazła się łatwo z rodzicielami, — a braci ani na lekarstwo.

— Może się gdzie zawieruszyli z Maciejowemi chłopcami — rzekła Jagna markotnie — ale tak po prawdzie to i nieładnie, niech ta... wrócimy sami do domu.

Było już całkiem ciemno, ale do chałupy mieli gościńcami i niedaleko. Noc była ciepła, wiosenna, złota od gwiazd i pachnąca wilgocią.

— Co to! furtka otwarta? — rzekła matka ze zdziwieniem.

Weszli.

Chłopców ciągle nie było, więc się zabrano bez nich do wieczerzy.

— Patrzajcie, ino niema największego kołacza — zawołała Jagna z przestrachem.

— I kiełbasy coś nie coś brakuje...

— I szynka odkrajana!

— Słyszane rzeczy!

A gospodarz, że był człek z natury

prędki, odpasał się zaraz i ruszył winowajców po domu szukać.

— Ani chybił, jeno te chłopcy bezbożniki musieli nas oszukać, że na rezurekcję idą, a tu sobie święcone wyprawili — dam ja im! Żeby nawet uczciwie końca postu nie doczekać! — sapał.

Nie znaleziono chłopców ani w komorze, ani w stodółce, ani w obórce.

Dopiero ich na stryszku z sianem gospodarz przyczupił, jak ostatnie kąski dogryzali — więc spowiwszy ich porządnie za kark, obu do izby przywiódł.

— Pogany, a bezbożniki, żeby końca postu nie doczekać.

— Tatulu oj tatulu! — łkał Wituś, napróżno usiłując coś powiedzieć.

— Ja nie..., ja nie... — szlochał Jantek.

— Bezbożniki, a wstyd chrześcijańskiej chałupie przynosicie, nawet się nie potrzebujecie wymawiać. — Żeby też końca postu nie doczekać! — I posłał ich zaraz spać do komory, gdzie im na noc sienniczki wysuwano.

Dopiero późnym wieczorem, gdy Jagna skończywszy porządki wracała do izby, usłyszała za sobą cichy, płaczliwy szept:

— Jaguś, Jaguś.

Obróciła się zdziwiona.

Wituś siedział na sienniczku z twarzyczką brudną od łez i aż się cały trząsł od płaczu. Przysiadła przy nim i objęła go rękoma.

— A po co taki poganin z ciebie — rzekła z wyrzutem.

— Jagna, och! Jagna... — łkał chłopiec.

— Żem kołacza nie po sprawiedliwości ściągnął to prawda, i że mnie słusznie tatulo zbili, to też prawda, ale żem bezbożnik to nie...

— A dyć jakto — rzekła nie rozumiejąc.

— A bo widzisz — to nieprawda żeśmy końca postu nie doczekali — boś sama nam mówiła, że post się kończy, kiedy Jegomość Alleluja zaintonuje — myśmy baczyli i dopiero gdyśmy to Alleluja usłyszeli, zaczęliśmy do chałupy co sił wyrywać.

— Nie przed końcem postu — gdzie zaś!

I aż sapał z wielkiego smutku.

— Jagna.

— A co?

Powiesz tatulowi?

I powtórzył z mocą:

— Że nas zbili, to po sprawiedliwości, — że nas skrzyczeli, to słuszna, — ale żeśmy bezbożniki i pogany — to nie!...

S. M. T.

Z MISYJ W RHODEZJI

Opatrznościowe odkrycie.

Miałem opuścić Miruru nad Luangwą i udać się do Bulawayo, aby tam czekać na dalszą dyspozycję. Gdym stanął nad Zambezą z moimi ludźmi, czekając na łódź, chłopiec pewien, imieniem Franciszek Borgja, którego dawniej uczyłem, ale który czyto uciekł z Misji, czy też został wydalony, przyszedł do mnie i mówi: „Ojcze, pozwól mi pójść z tobą". „Nie mogę cię wziąć ze sobą", odpowiedziałem, „nie wiem przecież sam, dokąd mam pójść". Nie wiedziałem też naprawdę, dokąd mnie ostatecznie Opatrzność przeznaczyła. Miałem polecenie, by udać się do Bulawayo, a stamtąd prawdopodobnie do Rhodezji północnej, aby założyć nową misję. — „Ojcze", napiera się Franciszek, „dokądkolwiek ty pójdziesz i ja pójdę". — „Nie", odparłem stanowczo, „to być nie może. Zostań przy swojej robocie tutaj, gdzie ci dobrze".

Przeprawiłem się z moimi tragarzami przez rzekę, zostawiwszy chłopca na północnym brzegu pod Feirą. Zgotowaliśmy obiad i zasiedli do posiłku, gdy ku mojemu zdumieniu, widzę Franciszka na łódce, przybijającego do brzegu. „Cóż ty sobie myślisz? Powiedziałem ci przecież, że cię wcale nie potrzebuję",



Kaisi. Rhodesia.

nastałem na niego ostro. „Ojcze, możesz mnie bić, ale ja muszę pójść z tobą, nie odstąpię cię". „Niech będzie, kiedy jesteś tak uparty. Pójdziesz ze mną, ale poniesiesz tobołek i nadto będziesz dla mnie gotował", odpowiedziałem, ustępując natręctwu chłopca. „Dziękuję ci, Ojcze".

I szliśmy razem wzdłuż rzeki Mpaname, potem wspinaliśmy się pod góry, które wznoszą się nad Zambezi od południa, wreszcie po ośmiu dniach ciężkiej drogi doszliśmy Ayrshire, kopalni w Połud. Rhodezji. Franciszek starał się dogodzić mi w tej podróży, jak tylko mógł.

W Ayrshire odprawiłem tragarzy, a już tylko z jednym Franciszkiem siadłem na pociąg do Salisbury, a z Salisbury do Bulawayo. Tu czekaliśmy dwa miesiące w kolegjum pod wezwaniem św. Jerzego, u naszych Ojców z Prowincji angielskiej. Nareszcie otrzymałem polecenie, aby udać się z O. Moreau do północnej Rhodezji i założyć tam na północ od Zambezi, na miejscu najlepszem, jakieby się dało znaleźć, nową misję. Franciszek towarzyszył nam jako kucharz. Osiedliśmy na koniec w Chikuni, niedaleko Monze, siedziby naczelnego króla szczepu Batongów.

Po czterech miesiącach wybrałem się na piechotę dalej na północ, by zbadać kraj po tamtej stronie rzeki Kafue. Zabrałem ze sobą tylko czterech niedużych chłopaków i Franciszka. I w tej podróży dziękowałem Bogu, że miałem ze sobą tego chłopca. Idąc bowiem łożyskiem jakiejś wyschniętej rzeki, zabłądziliśmy na dobre w istnej pustyni. Gorąc był nie do opisania, był to miesiąc październik. Pragnienie nas paliło. A tu ani kropli wody. Spędziliśmy noc o głodzie i chłodzie, bo nie było jak ugotować czego z naszych zapasów bez wody. Wcześnie z rana, idziemy dalej szukać wody w tem wyschniętem łożysku. Napróżno, ani kropelki nie dało się znaleźć. Tylko trochę miodu moi chłopcy gdzieś znaleźli, poszedłszy za gwizdem znanego ptaka. Skosztowałem i ja tego miodu, ale to tylko spotęgowało pragnienie. A słonko prażyło niemiłosiernie. Nadeszło południe. Palony pragnieniem, głodny, bez sił, ległem pod małem drzewem, czerpiąc w cieniu pełną piersią chłodniejsze nieco powiietrze. Franciszek gdzieś znikł.

Około drugiej popołudniu, przybiegł i oznajmia mi: „Ojcze, widziałem miejsce, gdzie zdaje mi się, moglibyśmy znaleźć wodę. Pozwól mi zabrać łopatę". „Jeszcze nie jestem tak bez sił, żebym nie mógł pójść razem z tobą", odparłem, „najważniejszą rzeczą jest, żebyśmy się nie rozłączali jeden od drugiego".

Zebraliśmy się i poszli za Franciszkiem.

Może godzinę trzeba było iść do miejsca wskazanego. Franciszek zaczął ryć łopatą. Na dwie stopy głęboko już odkopał ziemi, ani śladu wody. Rył dalej jeszcze stopę głębiej, wilgotny żwir się pokazał. „O. woda blisko", odezwał się z radością. Nareszcie, dzięki Bogu, jest, jest woda. Piliśmy, jedliśmy i noc tu spędziliśmy. Następnego dnia, około południa, byliśmy zpowrotem na dobrej drodze. Po trzech dniach doszliśmy do rzeki Kafue i przeprawiliśmy się na drugi, północny brzeg. Tu spotkaliśmy pana Van der Riel i dwa wozy pod opieką pewnego Chorwata, katolika, a z nim i kilku kamieniarzy i murarzy. Szli oni w tym samym kierunku co i my. Mieli łamać kamienie i budować most nad

rzeką Momboshi, kędy kolej żelazna miała iść. Uciecha była wielka z tego spotkania na tej odludnej ziemi. Ofiarowali mi miejsce na swoim wozie na moje rzeczy i dla mnie też a na moją prośbę i dla p. Van der Riel. (C. d. n.)

Z dziennika O. Sorrenda. Przełożył z ang.

Kaisi. Rhodesia 1929. *O. B. Wolnik.*

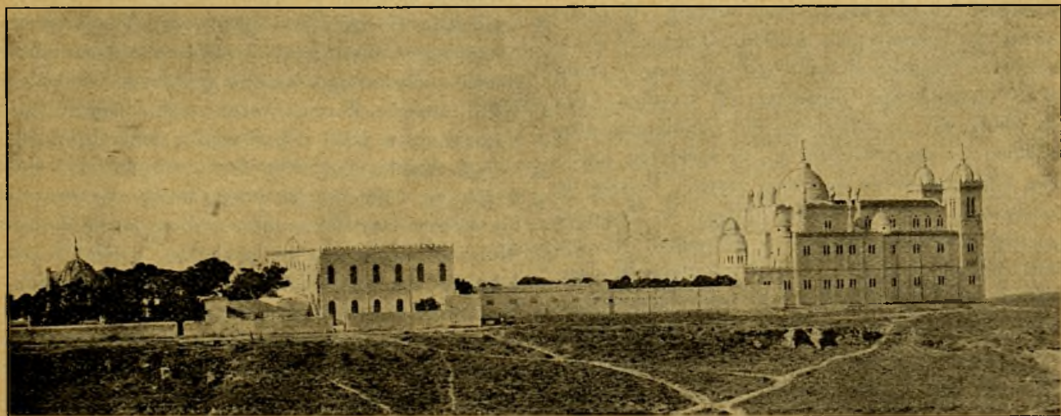
Z POLSKI I ZE ŚWIATA

ŻYCIE KATOLICKIE

Oczy świata katolickiego zwracają się obecnie ku Kartaginie, gdzie dobiegają do końca przygotowania do XXX. **Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego.** Zainteresowanie ogólne wzmaga fakt, że łączą się tu dwie, a po części trzy uroczystości: publiczny hold świata Chrystusowi Panu w Eucharystji, 1500 rocznica śmierci wielkiego doktora Kościoła, św. Augustyna, półwiekowy jubileusz działalności nieustającego Komitetu Kongresów Eucharystycznych. Pierwszy Kongres Eucharystyczny odbył się w Lille, we Francji 1881 r. Z ogólnej liczby dotychczas odbytych kongresów 25 przypada na E u r o p ę, 2 na A m e r y k ę, 1 miał miejsce w A z j i, 1 w A u s t r a l j i. W tym roku przypada kolej na A f r y k ę. Obrano K a r t a g i n ę, gdyż tam żył i działał św. Augustyn.

Starożytna ta miejscowość posiada wiele pamiątek drogich sercu chrześcijańskiemu. Do najcenniejszych należy a m f i t e a t r, którego ruiny widnieją o 500 m. od katedry arcybiskupiej. Zbudowany w II. wieku, o rozmiarach podobnych jak Colosseum rzymskie, podobnym też służył celom. W podziemiach jego znać ślady więzień, w których przetrzymywano chrześcijan, przed wyprowadzeniem ich na arenę męczeństwa. Kardynał Lavigerie polecił jedno z lepiej zachowanych więzień przebudować na kaplicę pod wezwaniem św. Felicyty i Perpetui, które w tym amfiteatrze w 205 r. poniosły śmierć za Chrystusa. Na miejscu, gdzie je pochowano wzniesiono później wielką b a z y l i k ę pod ich wezwaniem. W pobliżu jednej krypty, jaka się z tej budowli zachowała, postawiono obecnie kapliczkę, w której w czasie kongresu będzie odprawiona jedna Msza św. pontyfikalna. Do cennych pamiątek kartagińskich zaliczyć należy b a z y l i k ę ś w. C y p r j a n a, w której często modliła się św. Monika, matka św. Augustyna.

W centrum dawnej Kartaginy, na płaskowzgórzu Byrsa wznosi się obecnie arcybiskupia k a t e d r a pod wezwaniem ś w. L u d w i k a, zbudowana w stylu bizantyjsko-maurytańskim, ma 60 m. długości, 30 m. szerokości. Jej cennym skarbym jest relikwiarz ze szczątkami św. Ludwika. Na płaskowzgórzu przed katedrą odbywać się będą plenarne zebrania w czasie kongresu. Zebranie dzieci na-



Kartagina. Katedra i Seminarjum.

leżących do Krucjaty Eucharystycznej odbędzie się na arenie amfiteatru.

Myślą przewodnią obrad kongresu będzie cześć Najświętszego Sakramentu według pism św. Augustyna.

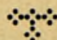
Kancelarja Prymasa Polski w Poznaniu organizuje pielgrzymkę na Kongres Eucharystyczny w Kartaginie. Pielgrzymka wyjedzie około 1 maja z Katowic. W drodze powrotnej uczestnicy pielgrzymki zwiedzą Palermo, Neapol, Rzym, Florencję, Wenecję. Koszta wynosić będą około 1000 zł. od osoby. Zgłoszenia należy adresować: Poznań, Ostrów Tumski 1.

Św. Kongregacja Obrzędów zatwierdziła dnia 15 stycznia b. r. przesłany jej przez J. Em. Ks. Kard. Hlonda, Prymasa Polski, **liturgiczny tekst Mszy i officjum Najśw. Marji Panny Królowej Korony Polskiej.**

Papieska Komisja do kodyfikacji prawa kościelnego obrządków wschodnich ustaliła, że katolików obrządku abisyńskiego (etiopskiego) jest 329.000, armeńskiego 112.000, koptyjskiego 131.000 grecko-melchickiego 135.000, syro-chaldejskiego 45.000, syryjsko-maronickiego 385.000, grecko-łacińskiego (grecko-katolickiego) 4.918.000, wyznawców i t. d. Ogółem hierarchja obrządków wschodnich obejmuje 6 patrjarchatów, 83 diecezje. 35 arcybiskupów, 47 biskupów, 8448 kapłanów i 7.733.304 wiernych.

Rady generalne deparlamentów w Alzacji i Lotaryngji uchwal ły domagać się od rządu francuskiego usunięcia podręczników szkolnych, których treść stoi w sprzeczności z nauką religji katolickiej.

Kurs Akcji Katolickiej odbył się w Poznaniu w dniach 11—21 marca przy udziale 76 osób: księży, pań zajmujących czołowe stanowiska w katolickich organizacjach kobiecych, profesorów i młodzieży akademickiej. Stosownie do życzenia Ojca św. Piusa XI., nawołującego do współpracy elity katolickiej z duchowieństwem w szerzeniu królestwa Chrystusowego na ziemi staje i Polska do pozytywnej, zorganizowanej, pracy. W Poznaniu powstaje Centrala Krajowa, w diecezjach działają biura diecezjalne, a po parafjach komitety. W działalności tej duchowieństwo odgrywa rolę doradczą, ruch i życie ma być wynikiem pracy ludzi świeckich przejętych zasadami katolickiemi, w myśl hasła: „Odnowić Polskę w Chrystusie“.



SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE.

Po dwutygodniowem przesileniu rządowem **Pan Prezydent Rzeczypospolitej powierzył misję tworzenia nowego rządu** posł. pułkownikowi **Waleremu Sławkowi** i dn. 29 marca b. r. podpisał nominację nowego rządu w składzie następującym: Prezesem rady ministrów został pos. płk. Walery Sławek Ministrem spraw wewnętrznych — Henryk Józefski. Min. spr. zagranicznych — August Zaiewski. Min. spr. wojskowych — marszałek Józef Piłsudski. Min. sprawiedliwości — Stanisław Car. Min. oświaty — Sławomir Czerwiński. Min. rolnictwa — Leon Janta-Połczyński. Min. reform rolnych — Witold Staniewicz. Min. pracy i opieki społecznej — Aleksander Prystor. Min komunikacji — Alfons Kühn. Min. robót publicznych — Maksymiljan Matakiewicz. Kierownictwo min. skarbu zachowuje płk. Ignacy Matuszewski, a kierownikiem min. przemysłu i handlu dotychczasowy minister — Eugenjusz Kwiatkowski.

Po uchwaleniu przez Sejm preliminarza budżetowego na rok 1930/31 **Pan Prezydent Rzeczypospolitej,** na podstawie art. 25 i 37 konstytucji, **zamknął** dn. 29 marca b. r. zwyczajną i nadzwyczajną **sesję Sejmu.**

Pod **protektoratem pani Prezydentowej Mościckiej** przystąpiono do zorganizowania w Polsce akcji celem niesienia doraźnej pomocy ofiarom powodzi we Francji.

W dn. 25 marca rozpoczęły się **w Grecji** uroczystości związane z obchodem stuletniej rocznicy uwolnienia Grecji z pod panowania Turcji. Ruch niepodległościowy Grecji powstał na podłożu odrodzenia umysłowego narodu greckiego w końcu XVIII. stulecia. Zbrojna walka o niepodległość rozpoczęła się w 1820 r. pod wodzą jenerała rosyjskiego, Ypsilantiego. Pierwsze usiłowania nie powiodły się i dopiero 25 marca 1821 r. na wezwanie metropolity Germanoza, podjęto je na nowo. Walka o charakterze partyzanckim trwała 8 lat, ściągając licznych ochotników z zachodniej Europy. W szeregach tych ostatnich zginął Byron, znakomity poeta angielski. Gdy Rosja, Anglja i Francja wystąpiły w obronie Grecji zmuszono Turcję do uznania niepodległości Grecji na podstawie traktatu adrjanopolskiego w 1829 r., a następnie traktatu londyńskiego z dn. 3. lutego 1830 r.

SPRAWY KOBIECE

Krakowskie Koło pań T. S. L. urządziło w dn. 15—24 marca **kurs naukowej organizacji pracy w gospodarstwie domowem.**

Odczyt „**O kobiecie polskiej**" wygłosiła w Paryżu znana rumuńska poetka, p. Helena Vacaresco, przedstawiając na tle historji działalność naszych bohaterek narodowych.

Wybory komunalne, w których po raz pierwszy brały udział kobiety, odbyły się w Rumunji dn. 16 marca. Obudziło to ogólne zainteresowanie. Organizacje kobiece pod przewodnictwem hr. Cantacuzene rozwinęły swą akcję po całym kraju, w szeregach odczytów nawołując do jedności narodowej.

W Czechosłowacji, wedle oznaczenia ministra sprawiedliwości, Dr. Mgissnera, mają być niedługo kobiety dopuszczone do urzędów w sądownictwie.

RZECZY CIEKAWE

Legendarny wąż morski nie jest wcale istotą tylko mityczną.

W r. 1898 obserwował go u wybrzeży japońskich P. Rakowitza, towarzysz polarnej podróży, prof. Arctowskiego. Opisał go bardzo dokładnie na podstawie spostrzeżeń różnych podróżników Anglik Oudemans.

Olbrzymi ten potomek Plesiosaurów z epoki kredowej posiada 15—30 m. długości, z czego $^1/_3$ wypada na szyję, a połowa na szpiczasty, okrągły ogon. Głowę ma stosunkowo małą, jednak dwa razy większą, niż głowa foki, o bardzo wielkich czarnych błyszczących czerwonawym połyskiem oczach. Nazwę swą zawdzięcza niezmiernie szybkim falistym ruchom i zdolności skręcania się jak wąż w podkowę we wszystkich kierunkach.

Wynurzając się z wody wyrzuca zwierzę fontannę rozpylonej siłą oddechu pary wodnej. Płynąc pozostawia za sobą na powierzchni wody tłusty ślad o przykrym zapachu.

Spotykano go na wszystkich wodach poniżej 40° szer. Budzi on swem pojawieniem się u wybrzeży zabobonny strach w tubylcach, jakkolwiek jest bardzo bojaźliwy i nawet ostrzeliwany na ludzi się nie rzuca. (Wedle art. prof. Siemiradzkiego w zeszycie styczniowym „Przyrody i Techniki")

„**Samoloty olbrzymy**". Pod tym tytułem zamieszcza Młody Lotnik artykuł o skonstruowanych przez niemiecką firmę Dorniera płatowcach. Z których jeden zabrał na swój pokład przy próbnym locie 150 pasażerów obok 19 ludzi załogi (ilość ta zaledwie by się zmieściła w dwu pulmanowskich wagonach). Posiada on obok całego szeregu kabin salon wymiarów 7 m. dł., 3½ m. szer., bar, palarnię z fotelami klubowemi. Inny znów sam ważąc 24.000 kg. jest przeznaczony głównie do transportu towarów. Może on przy pełnem obładowaniu 4.000 km. drogi a więc np. z Berlina przez Warszawę do Tomska przelecieć z szybkością 200 km. na godzinę.

PO ZGONIE JÓZEFA ŚLIWIŃSKIEGO.

Sztuka polska poniosła przed kilku tygodniami ciężką stratę, znakomity pianista i jeden z największych artystów doby współczesnej, zeszedł prawie nagle z tego świata.

Idealny odtwórca muzyki Chopina, w pełnej nastroju grze uwydatniający przedewszystkiem specjalnie polskie pierwiastki muzyki genialnego kompozytora, przysporzył imieniu polskiemu zagranicą dużo chwały.

Ś. p. Józef Śliwiński ur. w Warszawie w r. 1865 był uczniem Strobla w Konserwatorjum Warszawskiem, poczem uzupełniał swoje studja pianistowskie u słynnego wiedeńskiego pedagoga, prof. Teodora Leszetyckiego.

Interpretacja Śliwińskiego dzieł Chopina była jakby echem tych zachwytów ducha Chopina, w których one poczynały się światu. Śliwiński stawał się niemal medjum jego genjuszu, oddając całą jaźń i ogrom swego talentu na wypowiedzenie najtajniejszych jego myśli dźwiękowych. Tak jak muzyka Chopina jest jednem uczuciem, taką też była gra Śliwińskiego. Każda fraza, każda figura — poza niesłychanie bogatą polichromją zabarwienia dźwiękowego — stawała się wyrazem myśli poetyckiej. Epiczność bohaterska polonezów, najczulszy liryzm i dramatyczność sonaty i ballady, etiud, scherza, czy mazurków, miały w Śliwińskim nieporównanego piewcę. Tysiące drobnych akcentów, serdecznych westchnień, z których jak z atomów, składała się gra Śliwińskiego nie zmieniały jej istotnej monumentalności. Ogień młodzieńczego temperamentu, który towarzyszył do ostatka Śli-

wińskiemu zagrzewał i porywał słuchacza; a to, co olśniewało, wspaniałość techniki, było jakby częścią natury pianisty. Dlatego też Śliwiński pozostanie na zawsze w pamięci tych wszystkich, dla których muzyka jest nieodłączną częścią przeżyć duchownych.

O. J.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Pichenot Ks. arcybiskup Chambery: **Ewangelja Eucharystji** wyd. III. — Nakład Księgarni św. Wojciecha. Książka pełna głębokich myśli, trafnych uwag i serdecznego uczucia, daje obraz życia Chrystusa Pana odnowiony w Najśw. Sakramencie. Rzecz aktualna zawsze, a zwłaszcza teraz wobec zbliżających się Kongresów Eucharystycznych: międzynarodowego w Kartaginie i ogólnopolskiego w Poznaniu.

Czuj Jan, Ks. Dr.: **Św. Augustyn,** jego młodość, nawrócanie i udoskonalenie. (Kraków 1930), Dziełko napisane z racji 1500 rocznicy śmierci św. Augustyna, celem uprzystępnienia zrozumienia jego działalności.

Chesterton G. K.: Niedowiarstwo księdza Brovna. (Nakład księgarni św Wojciecha).

Nowa książka Chestertona składa się z szeregu nowel, związanych nietylko występującą w nich postacią, księdza Brovna, lecz i myślą przewodnią, (str. 39) że „człowiek nie ma spokoju, dopóki w coś nie uwierzy", a nie wierząc w Boga, ludzie tracą zdrowy rozsądek i stwarzają sobie tysiące przesądów jak fatum i przekleństwo. „Pies staje się (dla tych ludzi) wyrocznią, kot — tajemnicą, świnia — fetyszem chrząszcz-skarabeuszem" (str. 310) Szereg takich domniemanych „cudów", będących w rzeczywistości tylko zręcznemi intrygami i ponuremi zbrodniami, maluje nam Chesterton. Pokazuje, że niema fatum, ciążącego nad rodem i każącego członkom tego rodu popełniać zbrodnię, gdyż człowiek ma wolną wolę, a jest tylko zwykła ohydna zbrodnia (Los Darnawayów").

Niema fatum związanego z różnemi przedmiotami („Klątwa złotego krzyża", „Strzała z nieba"), a i cuda nie dzieją się na zawołanie („Cud przy ulicy księżycowej"), „Zmartwychwstanie Księdza Brovna").

Tłumaczenie tej książki jest dobre.

Dr. Burdecki Feliks: **Podróże międzyplanetarne.** Wyd. Książnicy Atlas Lwów-Warszawa 1929 r.

Książka aktualna — bo poruszająca problemy, których rozwiązania jeśli nie obecne, to przyszłe pokolenia doczekają się pewno. Z zainteresowaniem i pożytkiem przeczyta ją młodzież (ale młodzież, obeznana już z zasadami fizyki i chemji), wzbogacając umysł szeregiem rzeczowych, jasno wyłożonych wiadomości z aero i astronautyki oraz związanych z niemi zagadnień fizycznych, chemicznych, fizjologicznych, kosmicznych.

Szkoda tylko, że autor w swych refleksjach zdradza coś z panteistyczno-monistycznego światopoglądu, któremu, jak twierdzi, hołduje przeważnie nauka współczesna.. że mówi o powrocie dusz zmarłych na ziemię - co się z chrześcijańskiem „Credo" nie zgadza — że czeka na rozbudzenie się odczucia braterstwa łączącego ludzi na ziemi dopiero od — podróży na Venus.

Życzyć więc należy młodzieży, by brała z tej książki otwartem sercem zapał dla postępu, do podniebnych badań i lotów, ale równocześnie trwała w świadomości, że ikarowe loty ducha i braterstwo ludów już teraz są dla ludzkości prawdą i obowiązkiem.



Wzór do haftu włóczkowego na poduszkę, cieniowanego. Projektował K. Kłosowski.

PISANKI

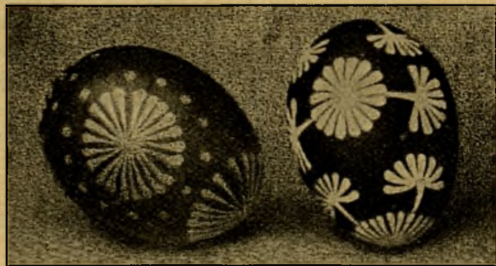
Piękne pisanki są największą ozdobą stołu wielkanocnego, a miłośnicy tradycyj zachwycają się ich rysunkiem, opartym na swojskich motywach. Zwyczaj barwienia jaj poczyna zanikać, a obecnie pisanki rzadko dorównywują pięknością i bogactwem deseni dawniejszym.

W ludowych wierzeniach jaje występuje jako symbol niemal u wszystkich plemion współczesnych i starożytnych. Grecy i Rzymianie składali jaja na ofiarę bóstwom, od nich rozpoczynano wszelkie uczty. W średniowieczu kult jaja związany był ze Świętami Wielkanocnemi. We Francji król rozdawał na Wielkanoc dworzanom pisanki. W Hiszpanji w poniedziałek wielkanocny obrzucano się woskowemi jajami, napełnionemi pachnącą wodą. Do dzisiejszego dnia dochował się zwyczaj składania sobie życzeń, dzieląc się jajkiem święconem.

Zwyczaj kraszenia jaj sięga dawnych czasów, a podania, wyjaśniające ten tradycyjny zwyczaj, wiążą się przeważnie ze śmiercią Pana Jezusa. Rozpowszechnione jest bardzo poetyczne podanie ludowe, że gdy Magdalena, uradowana ze Zmartwychwstania Mistrza, powróciła do domu, zastała tam wszystkie jaja zabarwione na czerwono. Pierwsze te „kraszanki" rozdawała Apostołom, głosząc radosną nowinę. Jedna z legend ruskich głosi, że Matka Boska, chcąc przebłagać Piłata, zaniosła mu koszyk pisanek, a kiedy z ust jego usłyszała o Ukrzyżowaniu Syna Swego, padła zemdlona, pisanki zaś wypadły z koszyka i rozsypały się po całym świecie. Według innego podania, malowanie jaj jest obowiązkiem, gdyż z chwilą zniknięcia pisanek, nadejdzie antychryst i nastąpi koniec świata.

Pierwszą wzmiankę historyczną o kraszeniu jaj, napotykamy u Wincentego Kadłubka w XIII. w. Na stole ze święconem u ks. Sapiehy w Dereczynie w XVIII. w., było 8.760 pisanek, t. zn. tyle, ile jest godzin w roku.

Malowanie jaj rozpoczyna się w dzień św. Józefa, gdzieindziej dopiero od Wielkiego Tygodnia i trwa w niektórych okolicach aż do Zielonych Świąt. Ze zwyczajem kraszenia jaj łączy się wiele zabobonów i przesądów ludowych. W związku z pisankami, istnieją różne zabawy.



Pisanki bardzo rzadko przechowuje się dłużej, jak do Wniebowstąpienia, przeważnie zjada się je podczas Świąt, a skorupki pali, z obawy przed profanacją.

Zależnie od sposobu wykonania, rozróżniamy cały szereg rodzajów pisanek.

Najpospolitsze, są t. zw. „hałunki" jednokolorowe. Jajka gotuje się na twardo w roztworze farby, a następnie osusza na siteczku. Dla nadania im połysku przeciera się je skórką od słoniny.

Drugi rodzaj jaj to „nakrapianki", obryzgane po ugotowaniu roztworem farby. Samo nakrapianie odbywa się przez umaczanie szczotki w silnym roztworze barwnika i bryzganie centek kolorowych na jaje przez odpowiednie naginanie i odprężanie szczeciny szczotki. Pewną odmianą nakrapianek są „mozajki". Są to jajka, które owinięte kolorowemi skrawkami sukna lub bibułek, zostały ugotowane, przez co przyjęły barwy tych szmatek, czy bibułek.

Trzecim rodzajem są jajka, które ubarwiono tylko częściowo, mianowicie: jajko okręca się nitkami lub tasiemkami, przepojonemi tłuszczem i gotuje w barwniku. Tam, gdzie były nitki, jajko pozostanie białe.

Czwartym rodzajem jajek wielkanocnych, są jajka deseniowe, na których, po zabarwieniu, wyskrobano wzór nożykiem. Ten rodzaj spotyka się często na Podgórzu.

Piątym rodzajem są jaja naklejane kolorowemi papierkami.

Wreszcie szóstym i najważniejszym rodzajem jaj wielkanocnych, są właściwe pisanki, które wykonuje się techniką batikową, t. zn., że kontury ornamentu i miejsca, które mają pozostać białe, opisuje się woskiem i w tym stanie kładzie się do farby najjaśniejszej (np. żółtej)

Następnie zakłada się woskiem te płaszczyzny, które mają pozostać w pierwszym kolorze (żółtym) i wrzuca się jaje do następnego barwnika (np. czerwonego) i t. d. Farby dobiera się w ten sposób, by następne zupełnie nakrywały poprzednio nałożone, stopniując od najjaśniejszych do najciemniejszych. Po kilkakrotnem opisaniu jaj, gotuje się je, przyczem wosk stapia się. Gdy jaje dostatecznie wyschnie, nadaje się mu połysk przez potarcie skórką od słoniny.

Do rozprowadzania wosku, służy t. zw. pisak jawajski, który przedstawia się jako lejek — z blachy mosiężnej — zakończony cienką rurką, przez którą wycieka wosk. Lud jednak używa bardziej prymitywnych narzędzi, jak np. zaostrzonego patyczka zapałek i szpilek itp. Pisakiem pisze się jaja, rozgrzewając wosk do płynności i utrzymując go w stałej temperaturze, aby równo wyciekał. Przy ogrzewaniu należy zwrócić uwagę na to. by wosk nie przeszedł wstan wrzenia, gdyż wskutek tego łatwo kruszy się przy malowaniu i farba zacieka w postaci żyłek.

Przy batikach, na materjach, często łamie się wosk z rozmysłu, by przez te pęknięcia, wywołać efekt „przypadkowości".

Lud używa do malowania przeważnie barwików roślinnych. Najczęściej używany jest kolor czerwonawo-bronzowy, uzyskany z cebuli, czarny z kory olchowej, dębowej i orzechowej lub z czernic; żółty z młodej jabłoni i zielony z listków żyta.

Barwy pisanek w różnych okolicach są różne; im bardziej na wschód, tem barwy jaskrawsze i rożnorodniejsze. Naogół biorąc, pisanka na ziemiach etnograficznie polskich jest tylko dwubarwna. Kolory pisanek często mają znaczenie symboliczne. Kolor czarny oznacza żałobę, fioletowy (w Wileńszczyźnie) oznacza pokutę, zielony — nadzieję, czerwony jest symbolem Chrystusa Odkupiciela.

Desenie pisanek zaczerpnięte bywają:

1) *z przyrody:* kwiaty, kłosy, liście, „chiroczki", „paprot", „worobaczi łapki".

2) z motywów złączonych z kultem chrześcijańskim.

3) *z ciał niebieskich:* „słońce z promieniami", „miesiąc", „zwizdy", „zori".

4) *z otoczenia:* „grabie, „wiatraki", „młyny", „drabiny" i „bramy".

5) *z motywów geometrycznych:* linje proste, „kropki", „kreski", (krakowskie), „paski", łańcuszki" (lwowskie i krakowskie), „kółka" (tarnopolskie), „kołesa", „bezkonecznyk", „zakruczki", „ohnyki" (ruskie) itd.

M. Sternicka

ucz. VI. kl. g., członk, „Kółka artyst.", Poznań.

Lektura: „Pisanki" — wydawn. „Bluszczu". — „Batik" — Marjan Wisz.

OD REDAKCJI

Baśko, pamięć o cierpieniach Pana Jezusa nie niszczy radości, jaką w nas budzi widok rozkwitającej wiosny, lecz raczej pogłębia ją i utrwala. Na pewnym stopniu wyrobienia duchowego dochodzimy do terenów, na których dadzą się godzić takie pozorne sprzeczności. Jakie gorące i radosne uczucia wywoływało piękno przyrody w sercu „zbratanego" z nią św. Franciszka z Assyżu, tak ściśle z krzyżem złączonego, bez względu na porę roku!

Cieszę się, że dajesz poznać „Dziś i Jutro" — to najlepszy sposób okazywania sympatji dla naszego pisma. O łamigłówki oryginalne i projekty konkursów, na jakie macie ochotę — prosimy Rebusy i łamigłówki powinny być wykonane tuszem, na kartkach wielkości karty pocztowej, pisane i **rysowane na jednej tylko stronie.**

Wandziu G. w Rybniku. — Nadesłana łamigłówka dobrze ułożona, lecz nie było czasu na przepisywanie tego, co napisałaś na drugiej stronie kartki.

Nino W. we Lwowie. „Śnieżyczka" nadeszła za późno. Inne prace czekają swej kolei. Może w czerwcowym numerze znalazłoby się na nią miejsce, ale wszak nie czułaby się dobrze wśród woni róż i blasku tulipanów.

M. J. w Rybniku. Fotografji ze szkoły gospodarczej bez odpowiednich objaśnień umieścić nie możemy. Czekamy na nie.

L. S. w Kołomyi. Za nadesłane obrazki dziękujemy. O ich dalszym losie nic jeszcze powiedzieć nie mogę. Aktualność ma pierwszeństwo, prawda, ale niekiedy inne czynniki muszą przeważyć szalę.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

Przed paru miesiącami kwitł między nami skromny fiołek — Lula Radziszewska, uczenica VI kl. gimn. w pensjonacie SS. Urszulanek w Tarnowie. Cicha, spokojna, nie zwracająca na siebie uwagi, rozsiewała wokoło woń uśmiechów i nie unikała sposobności czynienia drugim dobrze. Dzieliła z koleżankami każdy smutek i każdą radość. Umiała dodać otuchy w nieszczęściu pocieszyć, w trudnościach dopomóc. Wszystkim było z nią dobrze. Po powrocie ze świąt Bożego Narodzenia — Lula czuła się źle. Położyła się, ale nie miała gorączki, jedynie bolała ją trochę głowa. Nikt nie przypuszczał, żeby ta choroba mogła być groźną. Ażeby miała większy spokój, przeniesiono Lulę do infirmerji. Odwiedzałyśmy ją często, a ona z wdzięcznością przyjmowała te małe oznaki przywiązania. W piątek, 24. I. jedna z koleżanek poszła do infirmerji, aby się przekonać, jak Lula się czuje. Wróciła blada, z dziwnem przeczuciem, że widziała się z nią po raz ostatni. I rzeczywiście: w godzinę potem chora straciła przytomność, a wieczorem odwieziono ją do szpitala. Czekałyśmy z niecierpliwością każdej wiadomości o koleżance, łudząc się, że może jej lepiej, że może wróci do nas. Niestety — zapalenie mózgu rozwijało się szybko. Wiadomości ze szpitala były coraz gorsze, aż przyszła i ta, którą uporczywie odpychałyśmy od siebie. Śmierć Luli zrobiła na nas głębokie wrażenie tem bardziej, że była całkiem niespodziewana. Ze szpitala przewieziono trumnę do kaplicy klasztornej. Po nabożeństwie żałobnem odprowadziłyśmy zmarłą na cmentarz, przed którym czekało już auto. Z bólem serca otoczyłyśmy trumnę Koleżanki i pożegnałyśmy ją słowami pieśni: „W .mogile ciemnej śpij spokojnie, już Cię nam żegnać czas nadchodzi". Skończyłyśmy. Ułożono trumnę na aucie — pożegnałyśmy się z panią Radziszewską, która ten straszny cios przyjęła z dziwną rezygnacją. I powiozła zwłoki ukochanego dziecięcia na miejsce spoczynku w Pęchowie, którego pola, łąki i lasy tak Lula kochała i gdzie spędziła promienne dni swego dziecięctwa. Auto zaczęło się oddalać, unosząc ze sobą drogie zwłoki. Długo stałyśmy w milczeniu, patrząc na odjeżdżające auto, aż znikło gdzieś w oddali. Wróciłyśmy do klasztoru w dziwnie poważnym nastroju. Nikt nie przemówił ani słowa. Ponieważ to był dzień ostatni nauki w pierwszem półroczu, po rozdaniu świadectw rozjechałyśmy się do domu z obrazem Luli w duszy. Zamówiłyśmy kilka mszy za spokój duszy śp. Koleżanki. Na jednej z nich śpiewałyśmy specjalnie wyćwiczone Requiem, a po mszy św. Salve Regina. Teraz dopiero zrozumieliśmy, jak zacną była Lula i jak wielką stratę poniosłyśmy z jej śmiercią. Ufamy jednak i cieszymy się tą myślą, że jej jest lepiej w niebie u Stóp Królowej niebios, którą tak bardzo kochała i której była dzieckiem. Żegnaj nam, Ukochana Luluśko! Pamiętaj o swoich koleżankach. Przesyłaj nam nadal swe jasne, dobre uśmiechy i wyjednaj u Boga tę łaskę, abyśmy jak Ty, cicho przeszły przez życie, czyniąc wszystkim dobrze.



M. Rybińska,
VI kl. gimn.

Do polskich Dzieci!

W zaprzyjaźnionej z nami Francji powódź wiosenna zalała wielką połać kraju, przyczem blisko trzysta osób straciło życie, a tysiące ludzi dach nad głową... Cała Polska współczuje z Francją i stara się w miarę możności przyjść jej z pomocą. Wy, Dzieci polskie, jesteście cząstką swej Ojczyzny. Wypowiedzcie więc w prostych słowach smutek serduszek waszych, okażcie waszą przyjaźń i współczucie sierotom francuskim.

Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem.

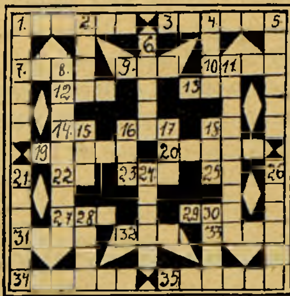
ŁAMIGŁÓWKI

ŁAMIGŁOWKA LITERACKA.

Baśka Marcinkowska.



Litery początkowe, oznaczone kwadracikami, mają dać imię i nazwisko powieściopisarza polskiego. 1) Dramat Rostworowskiego. 2) Powieść Orzeszkowej. 3) Powieść Orzeszkowej 4) Poemat Malczewskiego. 5) Powieść Zacharyasiewicza. 6) Opowiadanie Wilkońskiego. 7) Powieść Prusa. 8) Powieść Kraszewskiego. 9) Powieść Rodziewiczówny. 10) Powieść Sienkiewicza. 11) Dzieło Wyspiańskiego. 12) Poemat Krasińskiego. 13) Dramat Żuławskiego. 14) Powieść Rodziewiczówny. 15) Powieść Kraszewskiego. 16) Powieść Wołoszyńskiego (wspak).



KRZYŻÓWKA.

 Uł. P. L.

Poziomo: 1. Niedorzeczność. 3. Władca egipski. 7. Roślina używana na wianki. 9. Członek rodziny. 10. Herbata perwiańska. 12. Zaimek (wstecz). 13. Dopływ Dunaju. 14. Nuta. 16. Dawna moneta żydowska. 18. Nuta. 19. Ogniwo galwaniczne. 20. Stolica Litwy. 21. Inaczej „moje". 23. Oprawca. 25. Dwie samogłoski. 27. Inaczej „twoja". 29. Pałka. 31. Korab (wstecz). 32. Jeden z władców egipskich. 33. Szata liturgiczna. 34. Zasłona na lampę. 35. Dawna meneta żydowska.

Pionowo: 1. Zniewaga. 2. Planeta. 4. Bóstwo indyjskie. 5 Włók. 6. Starożytny port fenicki. 8. Ciepłomierz. 11. Nauka o rolnictwie. 15. Inaczej „jak dużo". 16. Roślina 17. Część utworu scenicznego. 18. Liczebnik. 21. Nimfa wodna. 24. Główna tętnica serca. 26 Piszczałka, ligawa. 28. Żołnierz piechoty francuskiej w Algerze (wstecz). 30. Mityczny lotnik grecki.

KONKURS KRÓTKOTERMINOWY

Do dn. 31. maja b. r. nadesłać wspomnienie p. t.:

„Pamiętna chwila ubiegłego roku szkolnego".

Rzecz może być traktowana a) poważnie, w formie rozprawki b) humorystycznie, w formie dowolnej, byle jedno i drugie opracowanie nie przekraczało jednej strony druku.

Najlepsza praca będzie drukowana — nadto przyznane będą nagrody w postaci książek.

Wynik tegorocznych konkursów ogłoszony będzie w numerze czerwcowym.

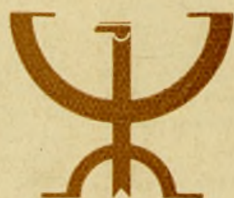
TREŚĆ Nr. 8.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:

Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.


DRUKARNIA
POLSKA KRAKOW